

# Gołębiowski, Stefan

---

Biografia i jej ekspresja twórcza,  
"Tygodnik Kulturalny" 1974, nr 37 (15  
IX): [przedruk]

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 110-114

---

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„prylizku”, jak to mówią Rosjanie, a nie na “prygladku”, jak to ma miejsce w hurtem załatwianych ekslibrysach z jednym wyjątkiem na „prykusku”.

Wreszcie niemalej wagi jest zagadnienie rozprowadzania książki, niekoniecznie każdej w równym stopniu, lecz nade wszystko masowej i związanej, z lekturą szkolną z uwzględnieniem nadobowiązkowej. Powinna ona znaleźć się w różnego rodzaju ekspozyturach Domu Książki w takich ilościach, żeby młodzieżowemu klubom mogła dać materiał do dyskusji w przerwach dawniej tańczącej herbatki, a obecnie czarnej kawki.

Zacząłem na serio, a kończę na pół żartem. Między twórcą a odbiorcą kryje się niespełnienie, jak u Staffa między wzniesioną dłonią a owocem drzew.

## BIOGRAFIA I JEJ EKSPRESJA TWÓRCZA

„Tygodnik Kulturalny”, 1974, nr 37 (15 IX)

1. Z jakim miejscem — regionem Kraju, miastem, miejscowością, zbiorowością ludzką - Czuje się Pan szczególnie związany?
2. Jaki charakter ma ta więź? Jakiego typu jest to związek — związek pamięci, stałego współuczestnictwa w życiu danej zbiorowości?
3. W jakiej mierze i w jakim sensie Pańskie dzieło jest określone i uwarunkowane przez Pańską biografię — miejsce urodzenia, przeżycia dzieciństwa i młodości w określonym środowisku, pejzażu, tradycji kulturalnej, przez uczestnictwo w życiu społecznym określonej zbiorowości?
4. Jakiego rodzaju impulsy twórcze z tych źródeł wypływają? W jaki sposób określają widzenie i rozumienie świata, w jakiej mierze zakreślają obszar tematyczny i problemowy Pańskiej twórczości?

Opublikowaliśmy już odpowiedzi Andrzeja Kuśniewicza, Jerzego Putramenta, Tadeusza Łopalewskiego, Stefana Otwinowskiego, Andrzeja Szczypiorskiego, Leona Gomolickiego Jadwigi Żylińskiej, Janiny Brzostowskiej i Juliana Kawalca. Niżej drukujemy wypowiedzi Stefana Gołębiowskiego i Jana Koprowskiego.

Jestem związany z Mazowszem, z północnym Mazowszem, dawnym i nowym, od urodzenia przez całe swoje dotychczasowe dwudziestowieczne życie — urodziłem się pod koniec roku 1900 w Biezu-

niu, w powiecie dawniej sierpeckim, a obecnie żuromińskim, jako syn chłopa wiatracznego, który nie mógł się wyżywić z pola zbiorami i mąką dorabiał najpierw na wiatraku, a potem ze szwagrem w młynie wodnym.

Związek z ziemią, mimo że ziemi nie uprawiałem i nie uprawiam, jest memu sercu szczególnie bliski, z ziemią doliny rzeki Wkry, w której przez pierwszą połowę obecnego wieku panowały bagna w mgły oparach.

Kwaśne łąki górowały nad polami, a w polach kwiaty polskie nad kłosami, zagony — jeden hektar o długości dwóch kilometrów — w których korzec za korcem gonił, żeby związać koniec z końcem.

Za to na łąkach pasły się krowy taskajskiej rasy — bo je nieraz trzeba było taskać z bagien przy pomocy sąsiedzkiej. Krowy, nie, raczej ogony na pastwiskach, od pastwić się, a nie od paść się, w miejscowym słoworodzie. Nie chodziłem nigdy za krowami, ale ryk tych krów dotąd, mimo że już takich krów nie ma, od dzieciństwa słyszę.

Byłem synem chłopa, który nie mógł być w pełni chłopem, jak Biezuń nie mógł być w pełni wsią, gdyż żył tradycjami grodu przedgrunwaldzkiego i miasta Andrzeja Zamojskiego, który w kluczu dóbr biezuńskich jeden z pierwszych, jeszcze w czasach saskich, chłopów oczynszował.

Jak Biezuń po powstaniu styczniowym, kiedy za patriotyzm utracił prawa miejskie, jako osada był połowiczny, tak i jego mieszkańcy. Do pracy w polu z konieczności dochodziło domowe rzemiosło, nagminnie związane z kopytem. Tysiąc szewców klepało jedną biedę i tysiąc szewców jechało na targ lub jarmark do okolicznych miejscowości.

Demograficznie Biezuń przypomina mi Sulejów Lucjana Rudnickiego z pierwszego tomu *Stare i nowe*, tylko bez zaplecza fabrycznej Łodzi. Jeśli mówiło się u nas o łodzi, to rybackiej, zgodnie z miejscowym przysłowiem: „Gdyby nie ryby i raki, przepadliby bieżuniaki”. Raki już nie żyją w mojej pamięci, chyba biezuńskie w XIX wieku zginęły z kart restauracji warszawskich, ryby natomiast, jak mówią bieżuniacy, przepadły przeze mnie po uregulowaniu Wkry i zagospodarowaniu doliny rzecznej.

Mimo że w Bieżuniu się urodziłem i z Bieżuniem jestem nadal domem w centrum i ogrodem dziedzicznie i bezpośrednio związany, jednak moje powiązania z miejscowym społeczeństwem, chociaż dla

niego przez ostatnich trzydzieści lat w pierwszym rządzie pracowałem, nie należą do bliskich. Za bardzo w swoim życiu byłem samotny, mimo że z samotnością przez całe życie walczyłem i walczę.

Samotny byłem jako dziecko zapóźnione w rozwoju. Z tego powodu przez długie lata borykałem się z brakiem uzdolnień, chyba niezupełnym, bo wydobyłem je z siebie jako kujon i już pewnie mało kto pamięta, że nazywano mnie osłem, nie żadnym krajowym, ale dardanejskim.

Samotny się stałem przez chroniczną chorobę, reumatyzm, który zniekształcił moje nogi. Przez z górą czterdzieści lat chodzę w pozycji kolan wygiętych. Prosto chodzić nie umiem i nie klękam. Takim już do końca zostanę, jeśli nogi na to pozwolą. Święta ziemia, ta ciebie dopiero galancie, jak mówią w moich stronach, po swojemu wyprostuje.

Chciałem założyć rodzinę. Nie wyszło. Żona dziecka mieć ze mną nie chciała i z innym odeszła. Samotny jestem, a mimo to samotność moja była i jest społecznie zaangażowana. Z powiatem, z Bieżuniem i zwłaszcza ze wsiami, nie jednym węzłem zaangażowany jestem, lecz trzema.

Po czternastu latach pracy międzywojennej na stanowisku nauczyciela polonisty Gimnazjum Miejskiego w Przasnyszu i po pięciu latach tajnego nauczania w Bieżuniu zdołałem zorganizować Gimnazjum im. Wł. Orkana, później zmienionego na Liceum Ogólnokształcące, których byłem przez dwadzieścia lat dyrektorem, aż do odejścia na emeryturę.

Nawet przez głowę mi nie przeszło, że już wtedy w 1945 roku mimowiednie byłem jednym z pierwszych inicjatorów szkoły średniej w gminie, z myślą o "szczęśliwej gminie" z gór Orkana, którą w dolinie pragnąłem podnieść w górę i przyczynić się do awansu chłopskich zapóźnionych w rozwoju dzieci.

Przez szkołę wyszedłem naprzeciw działalności społecznej, z którą jestem związany od lat dwudziestu: przez cztery kadencje — w dwóch ostatnich jako senior — radny wojewódzki i przez dwie kadencje — poseł na Sejm.

Regulacja rzeki, zagospodarowanie doliny i komasacja zmieniły wygląd mojej gminy do niepoznania. Na korzyść zmienił się Żuromin i cały powiat, ale nie do tego stopnia, żeby się wyróżnił.

Jedynie w drogach należy do przodujących w województwie. Dzięki czynom drogowym z pozycji zerowej wysunął się na czoło nie tylko ilością, ale i jakością. Coraz więcej asfaltu na drogach powiatowych.

Po rzece najwięcej usiłowań włożyłem w drogi i nie darmo na Dzień Drogowca w tym roku otrzymałem odznakę Przodującego Drogowca. A przecież w tym kierunku nie mam żadnej kwalifikacji.

Przez drogi najczęściej do ludzi wychodzę z mojej domowej samotności. Zwłaszcza żyję czynami spontanicznymi, do których same wsie wychodziły, jak Glinki, Strzeszewo, Boguszewiec i niemal cała gmina Syberia. Zapadłe wsie same szukają drogi, i dotacje na czyny do nich powinny być skierowane w pierwszej kolejności.

Trzecim końcem kija, na którym się wspieram, jest poezja. Nie z powołania, lecz z potrzeby. Nie w debiucie młodości, lecz w wieku męskim, w wieku kłęski. Poezja bezpośrednio związana z życiem moim, szukającym w wierszach rekompensaty, z ziemią mazowiecką, częściej z dawną niż nową, żeby przez słowa dać świadectwo prawdzie.

Nie żywiłem nigdy ambicji awangardowych, chociaż Przyboś był mi życzliwy. Nie szukam oryginalności za wszelką cenę. Rodowodem sięgam do naszej poezji, która u nas trzy razy się zaczynała: od Kochanowskiego, od Mickiewicza i od Norwida.

Przez Czarnolas trafiłem do Sabinum Horacego, skąd wróciłem do bieżuniowego. Przez poezję własną. Dzięki niej i dwudziestoletniemu nauczaniu języka łacińskiego z amatorstwa w liceum — od dziewięciu lat tkwię w poezji wielkiego Wenuzyjczyka. Z obciętymi własnymi skrzydłami szukam horacjańskich.

Już przetłumaczyłem całego Horacego, którego *Pieśni* w roku ubiegłym były najpiękniejszą książką roku Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Lat trzydzieści poezją się paralem, żeby dotrzeć do Horacego i w nim siebie odnaleźć.

Poza poezją i pracą społeczną samotność wypełniam książkami, zwłaszcza z zakresu poezji i klasyków prozy. Jak pijak do karczmy, tak ja nałogowo do Domu Książki ciągnę. Z tą jednak różnicą, że pijak spełnia, co każe sobie postawić, a ja kupuję więcej niż zdołam przeczytać. Z asekuracją, żeby książka nie zginęła i z myślą o przyszłym czytelniku. Dom ze zbiorami książek i mój ogród sabiński zapisuję miejscowemu Muzeum Regionalnemu z myślą, żeby w Bieżuniu powstał pierwszy dom twórcy w gminie.

Na północy Mazowsza jestem jedynym literatem, który należy do Związku Literatów Polskich. W Warszawie plejady gwiazd, a na północy Mazowsza gwiazdka, w stolicy 700 literatów, a na okrajach województwa niechby było przynajmniej pierwszych dziesięciu sprawiedliwych.

Z tego, co napisałem, wynika, że związek mój z ziemią mazowiecką jest anteuszowy. Żyję na zapadłej prowincji i od prowincji już się nie oderwę. W tym moja słabość i siła. Żyję nie tyle dla siebie, ile dla ludzi. Dzięki nim jestem wymowny spełnieniami, dzięki nim przybywają mi lata, na jakie nigdy w najśmielszych perspektywach nie liczyłem.

W gminie mojej znajduje się Kępa Gołuska, którą ludzie nazywają Wyspą Juranda. Od niego ziemię moją nazwałem Jurandową. Wiadomo. Jurand nie miał ręki, był ślepy i bez języka.

Taką przez wieki była moja ziemia nadgraniczna i zaborcza. Jurandową była przez wieki całe i dopiero od Manifestu Lipcowego odzyskała rękę utraconych nadziei, które zaczęły się stopniowo realizować. Przez upowszechnienie oświaty odzyskuje oczy dalekowzroczne na wielką reformę szkolnictwa. Z normalnymi jeszcze różnie bywa. Szuka własnego języka, ale on na razie należy do większych i mniejszych aglomeracji inwestycyjnych. Świerzbi mnie, żeby więcej powiedzieć, ale jurandowy język możliwości skromnych nie pozwala.

Ziemia moja żyła w lasach i walczyła z Zakonem do Grunwaldu. Ziemia moja wyszła z lasów wytrzebionych i wydobyła grunty piątej i szóstej klasy. Nieużytki i białogórskie wydmy niczyje, cygańskie, bo wiatr na nich handluje piaskiem. Ziemia moja przez zamulenie koryta podniosła lustro wody i wpadła w moczary, w bagna.

Kłęskami rosła i teraz z kłęsk się dźwiga. Jestem jej nieodrodnym synem i więcej mnie kłęski mobilizują niż zwycięstwa. Była szkołą mojego życia. Pod jej kątem patrzę na całe Mazowsze jak na tarczę okrągłego stołu ze stolicą kraju pośrodku i na mój kraj dojrzałego lipcowego trzydziestolecia.

## PISARZ I ŚWIATOPOGLĄD

„Tygodnik Kulturalny”, 1983, nr 6

Kontynuując cykl naszych sondaży literackich, zwróciliśmy się do znanych pisarzy z prośbą o odpowiedź na kilka pytań:

– Jak określiłby Pan obecny światopogląd literatury polskiej (w szczególności zaś literatury nurtu wiejskiego) i w jakim stopniu jest ona wyrazem światopoglądu społeczeństwa (społeczności wiejskiej)?